



editio

POKOLENIA

Powrót do domu

Katarzyna Droga

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Opieka redakcyjna: Ewelina Burska

Projekt okładki i rysunek wewnątrz okładki: Agata Droga

Fotografie na okładce i wewnątrz książki zostały wykorzystane za zgodą Katarzyny Drogiej.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-283-1259-3

Copyright © Katarzyna Droga 2016

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Noc ustępowała niespiesznie, świt nabierał blasku na horyzoncie. W małym miasteczku na Podlasiu, w jednym z nowych, pudełkowatych bloków, w niewielkim mieszkaniu na trzecim piętrze, w pokoju „dużym” — tylko z nazwy — tłoczyło się kilkanaście osób. Przyjaciele i sąsiedzi gospodarzy siedzieli na fotelach i taboretach, na podłodze i tapczanie, palili papierosy, popijali kawę, wódkę, lepką oranżadę ze szklanych butelek. Kobiety i mężczyźni, mniej lub bardziej urodziwi, wygadani i milczący. Ruda sąsiadka w trwałej ondulacji, pan Józio — stróż, jak na stróża przystało — w berecie z antenką i ze sportem przyklejonym do ust, oparty o framugę drzwi. Znali się wszyscy mniej lub bardziej, na co dzień lubili się lub nie lubili, zazdrościli, plotkowali o sobie, ale tej nocy nie miało to żadnego znaczenia. Patrzyli jak urzeczeni w jednym kierunku, wlepiali wzrok w szklany ekran. Sercem pomieszczenia stał się telewizor — szary nefryt z pokrętkiem w kolorze kości słoniowej, jedyny w bloku, ba, pewnie na całej ulicy. Sterował nim pan domu, doktor Leszek Borenga, przejęty jak inni wydarzeniem tej ciepłej lipcowej nocy. Jego manipulacje, od prób ustawienia jasności, ostrości i głosu po bardziej brutalne stukanie odbiornika pięścią w bok, niewiele dawały. Coś tam jednak mamrotało, coś było widać i słyszać, i w tej znaczącej chwili narodzin dnia, zwanej brzaskiem, zapadła kompletna cisza. Nikomu nie przeszkadzało już, że obraz jest czarno-szary, ruchy postaci jakby zwolnione, a dźwięk pełen trzasków. Na chwilę zatrzymały się serca, oczy w zdumieniu wpatrywały się w zamazany obraz. Przyszło im żyć tutaj, w socjalistycznym miasteczku, a dziś zebrali się nocą i sami nie mogli uwierzyć, że oglądają transmisję z innego globu. Cisza stała się jeszcze bardziej zawieszona — oto pierwszy człowiek, Amerykanin Neil Armstrong z rakiety Apollo 11, stawia kroki na Księżycu. Wstrzymany oddech i zdumienie połączyły na świecie ponad pół miliona ludzi wpatrzonych w ekrany telewizorów. „Mały krok człowieka, wielki skok ludzkości” — chrząknął z Księżycy Armstrong.

— O Boże! — westchnęła ruda sąsiadka, a płacziwa Jadzia otarła łzę.

— Cie choroba! — powiedział pan Grabowski i podrapał się w brodę. Przejęta pani domu, jasnowłosa, mała, szczupła, ruchliwa i emocjonalna Janka Borengowa, zaczęła bić brawo. Oczy jej pozieleniały, jak zwykle gdy się czymś bardzo przejmowała.

— Słuchajcie, to nowa era! Jesteśmy świadkami kosmicznej historii! Człowiek na Księżycu!

— Ale Amerykanin! — mruknął ktoś ponuro. — Cud, cud, że to u nas puścili...

— Nieważne! Panie Tadziu, to człowiek — z uśmiechem i wzruszeniem powiedziała brązowooka przyjaciółka Janki, dentystka Hania Northman. — Nigdy nie jesteśmy wszyscy tak do siebie podobni jak w obliczu Kosmosu!

— Ciekawe, kogo oni tam spotkają.

— Twardowskiego oczywiście!

— Pana Boga może? Duchy przodków?

— Lepiej nie myśleć...

— Lepiej wypić! Toast za ludzkość! Za nasze dzieci, co będą jeździć na kolonie na Księżyc...

— Te nasze dzieci, a z nimi psy, pospały się pokotem na kanapie! — roześmiała się Janka. — Nie dla nich nocne programy. Moja Kasia za kilka dni skończy cztery lata. A tu jakiś Armstrong stanął na Księżycu. No, no. Kosmiczne czasy.

Transmisję zakończono. Hymn zwieńczył program, sąsiedzi zaczęli się żegnać i rozchodzić do domów, bo bez względu na podróże na Srebrny Glob czekał ich następny zwykły ziemski dzień, w dodatku poniedziałek. Był 21 lipca 1969 roku. W małych Łębkach nad Narwią brzask przeistoczył się w ładny letni poranek.

Rozdział 1.

Janka i Leszek Borengowie przeprowadzili się ostatecznie z Białegostoku do Łębek w roku 1968. Do miasteczka powiatowego, jakich w Polsce było i będzie wiele, a zarazem wyjątkowego — przytulonego do bagien Narwi, zwanego czasem miastem przy kolei ze względu na stację kolejową, linię kolejową i zakłady naprawcze... czegoż by? Oczywiście taboru kolejowego. Mnóstwo drewnianych domów i sadów wiśniowych, stare ogrody, płoty i tajemnicze strychy podobowały się bardzo Jance i nazwała Łębki miasteczkiem tysiąca i kilku domków.

Ona — nieduża, energiczna, gwałtowna, szczerza i prędka w słowach, nie pracowała nigdzie, bo lubiła wolność i w żaden kierat pracy nie chciała się zaprząć. Wychowywała córkę Kasię, której doczekali się niespodziewanie po szesnastu latach małżeństwa na przekór wyrokowi lekarskim, że dzieci mieć na pewno nie będą, i gospodarowała w małym mieszkaniu przy ulicy Dubois. On — ciemnowłosa, szczupły radiolog, od czasu wypadku samochodowego lekko utykający, pracował w miejskiej przychodni zdrowia, a także w szpitalu mieszczącym się w bardzo starym budynku przy ulicy Leśnikowskiej i w pogotowiu ratunkowym. Jasnowłosa Janka miała szare oczy, które nabierały zielonego odcienia, gdy coś ją bardzo wzruszyło lub gdy padało, bo urodziła się pewnej deszczowej nocy, mimo styczenia, i deszcz towarzyszył zwykle przełomowym zdarzeniom w jej życiu. Leszek miał oczy niebieskie jak jego matka i córka, obie Katarzyny, uwielbiał słońce, a także szarozielone oczy swojej żony. Janka pochodziła ze wsi Stokowo nad Narwią, z rodziny Zajewiczów. Kochała swoje strony nade wszystko i tęskniła za nimi przez całe lata spędzane w miastach. Leszek, człek bardziej koczowniczej natury, zmienił w życiu wiele adresów. Urodził się pod Kaliszem, studiował w Poznaniu, zakładał katedrę radiologii w Akademii Medycznej w Białymstoku. Po wielu kłopotach, kopniakach od losu i zwycięstwach znaleźli przystań w tym oto małym miasteczku przy kolei, w nowym białym bloku przy ulicy Dubois, w małym mieszkanku,

w którym zamieszkali z córką i poczciwym terierem o imieniu Wigor. Jak szybko mija rok. Już rok...

— Ty wiesz, Kiciaku, rok zaraz minie, jak tu mieszkamy — ziewnęła Janka rano po zarwanej nocy z księżycowymi transmisjami. Po krótkiej drzemce Leszek postawił przy jej łóżku kawę z ptiberkiem. Tu, na Wschodzie, tylko oni nazywali zwykłe herbatniki ptiberkami, tak jak ich gospościa Wandzia, jeszcze za studenckich czasów, kiedy mieszkali w Poznaniu. Usiadł przy żonie na chwilę.

— Długą drogę przebyliśmy, co? — zapytała, rysując paznokciem kółka na jego ramieniu. — Z Poznania, którego ciągle żałujesz... Przyznaj się, żałujesz, tylko nic nie gadasz... Przez cały ten Białystok, do Łębek. Aleśmy trafili! Pindoliny Dolne. Dziura, węzeł, tyle że kolejowy.

Janka cieszyła się całym sercem, że wrócili na Podlasie, ale czasami celowo narzekała na prowincjonalność miasteczka. Lubiła wspomnienia poznańskie i zawsze mówiła „ptiberki”, a nie herbatniki, „bankuchen”, a nie sękacz, tort wafłowy pozostał zaś dla niej piszyngerem. Taki miłosny kod, bo tylko mąż rozumiał ją od razu. Poranne marudzenie w łóżku przy ptiberku, zanim wyszedł do przychodni, należało do jej codziennych ulubionych rytuałów. Dzisiaj prowokowała go szczególnie, przez ten Księżyc pewnie; poranek mógł zakończyć się kłótnią lub miłością, a najlepiej jednym i drugim.

— Człowiek wylądował na Księżycu, a ty musisz iść do pracy? Po co? Tu i tak wszyscy chorują na to samo. Nic ciekawego: korzonki, kiła mogiła, czasem płuca chore od papierosów ci się trafią, a dzieci i tak zawsze mają odrę albo robaki. No i co im z tego lunatykowania przyjdzie? A nam?

Leszek mruknął coś o dyżurze, o upale, o tym, że Kasia jeszcze śpi, pochylił się, by pocałować Jankę, a ona przyciągnęła go do siebie.

— Spóźnię się — szepnął.

— No to co? — zapytała. Zsunęła lekki koc. Nie lubiła koszul, a słowo „piżama” wydawało się jej równie okropne jak „onuce”. Objęła go nagimi ramionami, musiał pocałować jej bliznę na ustach i utonął, wciągnęła go w swoje ciepło. Księżyc ich w tej chwili nie obchodził, słońce nie patrzyło, Kasia spała.

Janka krzyknęła, uciekając twarzą w poduszkę, Leszek uśmiechnął się i... krzyknął, bo spojrział na zegarek na ścianie. Zerwał się szybko. Prysznic, kanapka w locie, papieros, koszula, marynarkę przerzucił przez ramię. Roześmiała się, słysząc, jak lekko zbiega po schodach i pogwizduje.

Zwykle od ósmej rano przyjmował w przychodni pacjentów. Za pięć ósma wchodził do holu, kłaniał się kobietom w recepcji, a punkt ósma pielęgniarka Alicja wychodziła na korytarz i zapraszała do gabinetu numer 8 pierwszego pacjenta. Chyba że żona zatrzymała go, tak jak dziś — wtedy wchodził pospiesznie, spóźniony, szybko zakładał biały lekarski uniform i pierwszy pacjent musiał poczekać. „Zapraszam” — mówiła wreszcie pielęgniarka.

W przychodni zaczynał się dzień, a Janka zapaliła papierosa. Zamierzała jeszcze poczytać w łóżku, ale nie mogła się skupić. Widocznie ta wyprawa Armstronga spowodowała, że myśli uciekały jej w kosmiczne rejony, we wspomnienia, w rozrachunki ze sobą. Czy lądowanie na Księżycu zmieni tryb codziennego dnia? Popchnie na inny tor jej los i oto obudzi się jako, dajmy na to, znana piosenkarka Sława Przybylska? Bynajmniej. Co komu pisane, to będzie miał. Westchnęła, przeciągnęła się zadowolona, sięgnęła po zielony szlafrok, wstała i zerknęła w lusterko. Popatrzyła na nią znajoma, zarumieniona teraz twarz. Usta, jakby rozmazane od pocałunków, zgubiły ślad starej blizny po wypadku.

„Ty, Jaśka, całkiem jeszcze jesteś do rzeczy” — pomyślała i puściła do siebie oko. Owszem, skończyła czterdzieści sześć lat, więc miała zmarszczki i niepotrzebnie tak mocno opaliła się w Stokowie. Ale włosy jej nie posiwiwały ani trochę, a od słońca pojaśniały jeszcze, skręcone przed latem u fryzjera spadały teraz na brwi. Podniosła loki nad czoło. Oczy, mimo że już obrysowane kurzymi łapkami, nadal pozostawały duże, kocie i młode.

— Może powinnam przestać się śmiać — powiedziała do siebie, skubiąc paznokciami skronie. W Białymstoku mieszkała taka jedna urodziwa profesorowa Kowarska, która dla gładkiej cery zachowywała zawsze kamienną twarz. Nie uśmiechała się wcale, pod żadnym pozorem. Była bardzo piękna i bardzo smutna. Janka roześmiała się wbrew postanowieniu. Kamienna profesorowa, Armstrong na Księżycu, a tu ich codzienne życie w Łębkach. Rok! Kto by pomyślał! Wspomnienie przepłynęło jak w taflি lustra. Janka nie złaapała się jeszcze na tym, ale coraz częściej podróżowała we wspomnienia. Widziała znów wszystko w lustrze jak na ekranie. Jakże to się stało?



Sześćdziesiąty ósmy rok ciągnął się im niemiłosiernie. Leszek jeździł każdego dnia z Białegostoku do Łębek, trzydzieści kilometrów, do przychodni i szpitala,

gdzie pracował jako radiolog, internista, a nawet położnik, bo dyżurował nocami w pogotowiu i niejedna pacjentka powiła z jego pomocą dziecko w karetce. W listopadzie kończył czterdzieści lat. Nie wyglądał na swój wiek, nie miał jednego siwego włosa — Janka wiedziała o tym doskonale. Ale od tych codziennych dojazdów był zmęczony. Bywało, że zimą musiał nocować na oddziale, bo kręta podlaska droga, zasypana śniegiem, stawała się nieprzejezdna nawet dla karettek, a do Suraza czy Turośni Kościelnej w ogóle nie można było dotrzeć. Dlatego kiedy pojawiła się możliwość zajęcia służbowego mieszkania w Łębkach, uznali, że to będzie następny przystanek w ich życiu. Możliwość zaś pojawiła się, bo przy błotnistej ulicy Dubois naprzeciwko knajpy Łębkowianka pobudowano nowy blok. A dzięki znajomościom i skuteczności szefowej Leszka — operatywnej doktor Romy Wojnowicz, jasnowłosej i eleganckiej dyrektorki łębkowskiego szpitala — przydział na kilka mieszkań dostały rodziny lekarskie. Och, nie tak łatwo: potrzeba było odpowiedniego zarządzenia rady miasta, popartego przez pierwszego sekretarza partii, zatwierdzonego przez naczelnika, a pewnie także przez kierownika wydziału zagospodarowania miasta. Wszyscy podpisali.

— Wszyscy! — z satysfakcją oświadczyła Leszkowi w gabinecie dyrektorskim dumna z siebie Roma. — Załatwiłam z tym safandulą, pierwszym sekretarzem, kilka mieszkań dla lekarzy. Towarzysz Janucik kręcił nosem, skierował sprawę do województwa, ale tam na szczęście dobrze znam towarzysza Kierasa. No i tak od towarzysza do towarzysza, koniaków poszło cztery, a mieszkań mamy sześć! Jak inaczej ściągniemy do tej dziury specjalistów, Leszku? Pediatrów nam jeszcze trzeba koniecznie ze dwóch, nie wspomnę o laryngologu. No, Lesiu, mówię ci, koniec z Białymstokiem, z tymi wiecznymi dojazdami! Powiedz swojej wyszczekanej żonce, że chcę was mieć tu, w Łębkach, na miejscu: Dubois dwa, mieszkania dwadzieścia cztery. I to, nie uwierzysz, z telefonem!

Roma Wojnowicz była przyzwyczajona, że dzieje się tak, jak ona wymyśli. Janka też lubiła mieć swoje zdanie i najpierw nie posiadała się z oburzenia: że sobie tego nie życzy, że Roma zarządzać jej życiem i przeprowadzkami nie będzie, jeszcze czego! Łębkami — proszę bardzo, może sobie trząść, miastem z plebanią na dokładkę, a nawet z sąsiadującą Płonką Kościelną, ale nie nią, Janką Borengową z Zajewiczów! W duchu jednak zgodziła się natychmiast i cieszyła się z tej odmiany. Łębki leżały jeszcze bliżej jej rodzinnego Stokowa

niz Białystok, znała i lubiła to małe miasteczko pełne drewnianych domków i wiśniowych sadów, a urządzenie nowego mieszkania zawsze ją odmładzało i inspirowało. Ani myślała zwlekać. Wieczorem usiadła blisko męża, poprawiła mu włosy nad czołem, pocałowała go w nieogolony policzek i powiedziała:

— No to co, stary włóczęgo, znowu ruszamy w nieznane?

Leszek pomyślał, że po raz kolejny porzucają większe miasto dla mniejszego, ale jego sentyment do Białegostoku przygaśł po intrygach i kłopotach, które tu przeżył. Z niechęcią myślał o czasach sprzed narodzin Kasi. Pożegnał nadzieje o karierze naukowej. Cała ta sprawa z oskarżeniem, usunięciem go z akademii, w której docent Klimiuk robił coraz większą karierę tak polityczną, jak i zawodową... A Łębki, za bagnami, za torami, wydawały się oddalone od świata plenów, towarzyszy sekretarzy i od układów¹. Dojeżdżał tu już od dwóch lat, kierował przychodnią, zaangażował się w budowę nowego szpitala.

Znał swoją żonę.

Janka, jak zawsze pełna sprzecznych emocji, po tym jak oprotestowała decyzję, równie namiętnie zaczęła planować pakowanie, snuć się po mieszkaniu, oglądając sprzęty i ferując wyroki, wskazując przedmioty godne lub niegodne zabrania do „etapu Łębki”. Pogłaskała Wilusia, starą szafkę z Poznania, zabytkową, bo jeszcze z czasów cesarza Wilhelma. Towarzyszyła im na wszystkich życiowych przystankach i skrywała zapiski Janki, recepty Leszka i pamiątki ich przeszłości. Miejsce na przyszłe zdarzenia także tam było, sporo miejsca.

— Dobrze będzie — rzekła cicho do Wilusia. — Albo i nie będzie.

— Powiedz ty mi lepiej — odwróciła się do męża — jak przewieziemy cały ten dobytek bez szwanku? Zobacz no, Kiciaku, jak to człowiek gromadzi rzeczy koło siebie. Same „przydasie”. Książki, znaczki, dzbanki, kubeczki. Młynek do kawy jeszcze od Wandzi z Poznania — cenny. Ale to twoje żółte truchło? Pudełko jakies po kliszach czy co? Po co to? A po co ci tyle klaserów? Wiluś już pełen twoich medycznych narzędzi, butelek i pojemników na strzykawki. Oj, nie chmurz się zaraz, tylko powiedz, jak my to przewieziemy?

¹ W pierwszej części *Pokoleń* Leszek Borenga jako młody lekarz przybył do Białegostoku w roku 1955, by współtworzyć katedrę radiologii na powstającej tu akademii medycznej. Wskutek intryg przełożonego Klimiuka musiał zrezygnować z pracy na akademii i przenieść się do przychodni w Łębkach.

Łatwo się mówi: przeprowadzka! Nie znoszę przeprowadzek, nie mogę patrzeć na to nagromadzenie rzeczy. Każda to kawałek życia, i to w dodatku taki, co przeminął. Od dziś moją dewizą będzie zdanie ciotki Marylki z Zambrowa: „Co masz wyrzucić jutro, wyrzuć dziś!”. No, ale bój się Boga, wszystkiego nie wyrzucimy! Będziesz to Wańką woził po trochu czy jak? Może niech ci ta cała twoja szefowa Roma Wojnowicz karetki pogotowia pożyczycy!

Ale Leszek, ku jej złości, nie słuchał — spał snem lekarza strudzonego po dyżurze.

Na przeprowadzkę przypadł jesienny, ciepły dzień. Janka obudziła się o świcie z myślą, że wszystko już spakowane, transport umówiony i od dziś będą mieszkać w Łębkach. Jeszcze przed narodzinami dnia samotnie wybrała się na ostatni spacer po Białymstoku: tu, w kawiarni Ratuszowej, godzinami plotkowały z Zosią. Ile intryg, upragnionych i niechcianych miłości, tańców, ile hektolitrów wypitej kawy i czystej żytniej wódki! Tutaj, w parku koło garnizonu, Kasia postawiła pierwsze samodzielne kroki, a tu, przy Zwierzynieckiej, w nowych blokach, zamieszkał brat Janki Bogdan z żoną Tamarą i synkiem. Naprzeciwko wybudowano akademiki w szeregu: Alfa, Beta, Gamma... Och, różnie Białystok! Pamiętała przecież dobrze powojenne gruzy, a teraz bloki, bloki, nowe sklepy, dużo szkła, stali, murów. Gdzieniedzie ocalały jeszcze romantyczne drewniane domki dawnych białostoczan. I ta parszywa ulica, na której jej cudny pies Biżus wpadł pod koła karetki. Redakcja „Gazety Codziennej” — tu od lat pracowali bliscy im Płazoniowie: Zosia i Jerzy. Delikatesy przy Lipowej — tu nigdy nic nie można było dostać, chyba że po znajomości! Pałac Branickich — tu mieszkali z Leszkiem kilka lat i nie szczęściło się im, dopóki... Właśnie — czy rzeczywiście do czasu, kiedy pozbyli się tej kobiecej czaszki towarzyszącej im jako eksponat naukowy? Na wspomnienie rozpaczliwych pustych oczodołów w ładnym kształcie głowy, seansu spirytystycznego, niewyjaśnionego smagnięcia w szyby dreszcz przebiegł jej po plecach. Leszek nie chciał o tym rozmawiać, wzruszał ramionami i zmieniał temat. Sama myślała: „Nie wiem, nie wiem, podobno Klimiuk jej teraz używa, tej naszej czaszki, ale póki co przyniosła mu tylko habilitację...”. Postanowiła zostawić to wspomnienie tutaj, w Białymstoku, podobnie jak inne smutki, które wydarzyły się na tamtym etapie życia.

Kiedy wróciła, Leszek z Kasią czekali już w samochodzie. Popatrzyła ostatni raz na puste podłogi, gołe okna, zamknięta drzwi mieszkania przy Skłodowskiej,

oddała klucz portierowi przy windzie, zesłała brzydką klatką schodową. Leszek z trudem domykał bagażnik. Na tylnym siedzeniu Wańki obok śpiącej Kasi pies Wigor ziajał radośnie przez szybę. Nie obejrzała się za siebie. Milczała całą drogę do Łębek, oglądała krajobraz, ale zamiast lasów i pól widziała swoją przeszłość — sielskie-wiejskie lata dwudzieste: radosną dziewczynkę z poobdzieranymi kolanami wspinającą się po drzewach w Stokowie. Uśmiechniętą panienkę w ławce w gimnazjum zambrowskim z lat trzydziestych z grzywką i włosami równo ściętymi pod uszami. Dziewczynę wojenną, patrzącą z przerażeniem na bomby rozrywające ziemię, płonący dom, płonący most, ryczące krowy, śmierć służącej Alberty uduszonej w bagażniku... Śmiech zniknął. Widziała siebie — „Pliszkę” z AK, której zza stanika wypadł gryps prosto do miski z mydlinami, która przedziera się przez lasy z upartym jak muł koniem Marszałkiem. Potem młodą kobietę powojennych lat, kobietę w deszczu, w ważnych chwilach życia.

Na chwilę pociemniało jej w oczach, a w piersi poczuła kamienny ciężar: najstraszniejsze wspomnienia przebiegły jej przez pamięć, po czym obraz ust pierwszego narzeczonego i samotnego krzyża, obraz sylwetki jasnówłosej, roześmianej siostry i znów krzyża odeszły, zatarły się, ustępując miejsca upartej woli życia, powracającej radości: młodej, rezolutnej żonie lekarza w Poznaniu, w Białymstoku. Na myśl o największej niespodziance swojego życia uśmiechnęła się i popatrzyła na tylne siedzenie. Katarzyna. Nikt nie mógł wówczas w to uwierzyć! A ona, Janka, wbrew werdyktom lekarzy, wbrew zwyczajom, bo miała już czterdzieści dwa lata, urodziła córkę! Katarzyna budziła się właśnie i mimo że Wigor położył jej na nogach swoją kwadratową głowę, najwyraźniej zamierzała płakać. Również na szybach auta pojawiły się pierwsze kropelki deszczu.

— Chodź do mamy — powiedziała cicho Janka, biorąc ją na kolana. Jechali zakrętami, przez lasy i wsie, tu kawałkiem asfaltu, tam brukowanymi drogami. Wreszcie zza Uhowa wyłonił się wiadukt i zamajaczyły budynki. — Zobacz, światełka. Tu będzie nasz nowy dom. Łębki, Kasiu.

— Jebki! — powtórzyła dziewczynka. Roześmieli się oboje.

Nad rzeką błysnęło. Wigor skulił się, bo chociaż był psem wielkiej odwagi, jednej jedynej rzeczy na całym świecie bał się straszliwie: burzy z grzmotami. Przebiegli w deszczu z samochodu do klatki schodowej — pies pierwszy — do nowego mieszkania, a zarazem rozdziału w życiu.

Usiedli na ziemi zmęczeni, wśród nierozpakowanych manatków. Janka wyjęła z pudła dwie szklanki, bułgarski „Złoty Brzeg”, który Leszek dostał od jakiegoś wdzięcznego pacjenta, papierosy. Rozlała trunek, zapalili giewonta na spółkę i stuknęli szklanką w szklankę. Ich córka spała za ścianą, na stercie kołder i płaszczy ułożonych w kącie pokoiku. Pies schował się za Wilusiem. Deszcz się wzmagął, rozpadało się na dobre, ale to Janki akurat nie dziwiło.

— Za ten następny etap, Kiciaku! Patrz, znów małe mieszkanie, ale cieśz się, że tym razem nikt tu przed nami nie mieszkał. Żadne tam duchy Branickich, jak w pałacu przy akademii, nie? Niech będzie nasze zdrowie! Zamknęłam stare biedy w białostockim rozdziale. Muszę zapamiętać, co mi się przyśni na nowym miejscu. Podobno się spełnia — wspomniała stary przesąd. — I ty zapamiętaj...

Burza pohukiwała w tle.

Janka spała niespokojnie. Śniło się jej uparcie Stokowo: mgły nad łąkami, wierzby i strzechy chałup, brązowy dom rodziców nad samym zakolem Narwi. Także zarys innego domu, którego nie znała i którego z pewnością tam nie było.

Tego pierwszego dnia w nowym mieszkaniu Leszek obudził Jankę ubrany już i gotowy do wyjścia. Postawił herbatę z ciastkiem na małym stolczku przy tapczanie i poruszył jej ramieniem. Zupełnie tak jak dzisiaj...

Wróciła ze wspomnień do lipcowego poranka w obecny czas, bo w drzwiach pokoju stanęła zaspana Kasia w pizamce, z brunatnym misiem Tomkiem w objęciach.

— Ty, Kasiu, za trzy dni skończysz cztery lata, wiesz? Zrobimy ci w Stokowie urodziny. Co byś chciała dostać?

— Kurę.

— Co?

— Kurę Bubę. Pstrokatą kurę babci Mani.

— Bój się Boga, dziecko, kura w mieście? Wigor by ją zjadł. No chyba, że mieszkałaby u babci w Stokowie, to co innego... Boże, jak dziś parno. Na burzę zbiera się tak samo jak wtedy, kiedy się tu wprowadzaliśmy, opowiadałam ci? Właśnie ją wspominałam. I przez te wspomnienia, a może przez Armstronga na Księżycu, a najpewniej przez to, że tyle milionów ludzi wpa-trywało się w to razem, coś się poruszyło. Burza ani chybi będzie gwałtowna.



Burza nadeszła wieczorem i szalała na Podlasiu całą noc. Łoskot grzmotów przypominał wojnę, pioruny tłukły w rzekę, wiatr gwałcił drzewa do ziemi. Janka stwierdziła, że to przestroga dla ludzi, żeby po Kosmosie nie łazili. Leszek przypomniał jej, że w tym klimacie burza w lecie to dość często spotykane zjawisko, ale rano usłyszała, jak mówi cicho:

— Kiciaku, karetka czeka na mnie na dole. Nad Podlasiem przeszła ogromna nawałnica, mamy setki wezwań. Pożary, słabe serca, ktoś uderzony konarem... Piorun znów poraził Waclawa Łębkowskiego z Łupianki. Nie uwierzysz, ja trzeci raz jadę do niego, porażonego podczas burzy. Pioruny ganiają tego człowieka, jakby miał w sobie jakiś magnes... Trzeci raz przeżył, ale jest poparzony...

Usiadła szybko, przestraszona. Wariat Waclaw ganiany przez pioruny obchodził ją mniej, bardziej rodzinna wieś Stokowo i dom rodziców. Pamiętała z dzieciństwa pożar na wsi po burzy. Płomień buchnął nagle, słomiana strzecha dziadka zapłonęła i ogień błyskawicznie pochłonął drewniane ściany. Ludzie z krzykiem wybiegali z domów, mężczyźni zaścianiali kocami oczy koniom i krowom, by je wyprowadzić z płonącej stodoły, kobiety podawały sobie wiadra wody. Pomogła im wtedy ulewa — ogień nie tknął starego domu dziadka Zajewicza ani Białego Domku, w którym mieszkała z rodzicami i babką Kamą. Hitlera i wojny trzeba było dopiero, by spłonęły. Wtedy w Stokowie spaliła się tylko biedna chałupa Perkosiów. Stara Perkosiowa płakała wniebogłoso, wznosząc ręce ku niebu, ale pocieszały ją sąsiadki, bo zwierzęta udało się ocalić, ludziom nic się nie stało, a budynki — cóż, jak to budynki — można odbudować. Na miejscu spalonych, zburzonych rosną nowe domy... Mimo to Janka nie chciała pożarów w swojej wsi.

— Nad całym Podlasiem? — zapytała z lękiem. — A nie wiesz, jak na wsiach? Co w Stokowie?

— Nie wiem. W radiu mówili tylko: nad Podlasiem i że duże straty, linie elektryczne pozrywane. O twoim Stokowie, patrz, parszywi dziennikarze — nic. Zamów rozmowę do sołtysa, może się dodzwonisz, ja muszę iść.

To rzekł i zniknął. Słońce, coraz silniejsze, zaczęło zaglądać do pokoju.

Beznamiętny głos w telefonie poinformował Jankę, że połączenie jest w tej chwili niemożliwe. Dodzwoniła się za to do swoich braci: Antoniego w Kuleszach i Bogdana w Białymstoku. Nie ucierpieli, ale zaniepokojeni o rodziców potwierdzili zjazd w sobotę w Stokowie.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

W życiu Janki i Leszka pojawia się wreszcie długo wyczekiwana, wymarzona córka Kasia. Po latach dorosła Katarzyna spisze historię rodzin Borengów i Zajewiczów. Będzie dramatyczna i pełna niespodzianek jak cała powojenna historia Polski, barwna i rozkochana jak nadnarwiańskie Stokowo.

Życie płynie, uciekają lata, pojawiają się nowi przyjaciele, niektóre stare przyjaźnie się kończą, w rodzinie Zajewiczów dorasta kolejne pokolenie. Zmienia się także Polska. Janka śledzi z zapartym tchem politykę, zawsze zaangażowana, krytyczna i niekryjąca swoich opinii. Niezmienna pozostaje tylko jej miłość do Stokowa.

Pokolenia. Powrót do domu to opowieść inspirowana losami rodziny autorki. Wielka historia przeplata się z małymi ludzkimi sprawami, przekazy rodzinne obrastają w legendę... Dynamiczne, pełne życia postaci, barwny język, dramaty i radości codziennego dnia, namiętności i zdrady tworzą sagę rodzinną, w której czytelnik odnajdzie bliskie swojemu sercu emocje i historie.

Czytając Pokolenia, możemy zanurzyć się w czasach i miejscach, przez które prowadzi nas autorka. Zawitać do lat PRL-u, do miejsc, o których zapomniano sporządzając mapy i tych, które są na nich wyraźnie zaznaczone. Bohaterki i bohaterowie pochodzą z różnych kultur, żyją, ścierają się, kochają, słyszymy ich głosy. Książka, którą oddaje w ręce czytelników Katarzyna Droga, jest kolejną częścią sagi Pokolenia. Wiek deszczu, wiek słońca. Można czytać ją jako kontynuację, można też oddzielnie. Sądzę, że autorce udało się przykuć uwagę czytelnika. Ta powieść spełnia podstawowy warunek dobrej sagi — ma klimat, żyje, wciąga i nie nudzi!

Patroni medialni:

patroni media
sens

zwierciadło

Krzyszyna Kofta

Nr katalogowy: 36095



Księgarnia Internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

 **editio**

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

cena 44,90 zł

ISBN 978-83-283-1259-3



9 788328 312593